



Historia mojego powołania zaczęła się jeszcze we wczesnym dzieciństwie. Pamiętam, że od małego dziecka miałem bardzo dobry i wymowny przykład wiary od rodziców, babci i dziadka. Gdy jeszcze nie chodziłem do szkoły, moja babcia, która uczyła mnie Różańca i modlitw oraz brała ze sobą do kościoła, ciężko zachorowała. Bolało ją serce, i z tego powodu mocno płakała. Było mi jej bardzo żal, więc poszedłem do Pana Jezusa i powiedziałem: „Jeśli moja babcia będzie zdrowa i będzie żyć dalej, to ja zostanę księdzem”. Tę obietnicę zapamiętałem na zawsze. † A jeszcze mama opowiedziała taką historię. W wieku 9 miesięcy miałem poważne problemy z płucami. Lekarze mówili, że jeżeli wyzdrowieję, to będzie cud. Po takich prognozach zrozpaczona matka zaniósła mnie do kościoła, położyła na ołtarzu Matki Bożej przy figurze Najświętszej Maryi Panny i powiedziała: „Maryjo, oddaję Ci swoje dziecko, rób z nim, co chcesz!”. W tym samym czasie ksiądz odprawił za mnie Mszę św. i mój stan się polepszył.

Dostałem się do seminarium i, będąc jeszcze klerykiem, pojechałem na misje do Ekwadoru i Boliwii. To było w 1975 roku, wtedy akurat przypadało stulecie Misji Salezjańskich. Przełożeni w Polsce powiedzieli, że na misje może wyjechać stu kapłanów. Klerycy dopiero po drugim roku filozofii mogli wyjechać, a ja byłem tylko po nowicjacie. Więc napisałem list do księdza generała z prośbą o pozwolenie na wyjazd. Również wtedy napisałem list do św. Jana Bosko z prośbą o wstawiennictwo i pomoc, a mój spowiednik, który akurat w tym czasie wyjeżdżał do Turynu, wziął tą kartkę i zawiózł w święte miejsce. I dostałem pozwolenie.

Jechałem na misje z myślą, żeby oddać tam swoje życie za wiarę, za Chrystusa, za krzyż. Lecz Boża wola była inna. Przepracowałem pięć lat: dwa i pół roku w Ekwadorze, dwa i pół roku w Boliwii. Zacząłem robić tam studia filozoficzne, lecz powiedziano mi, że w tych warunkach czas trwania studiów wynosi jedenaście lat, z kolei w Polsce można ukończyć naukę za sześć lat. Dlatego zdecydowałem, że wrócę do Ojczyzny, żeby tam zostać kapłanem, a potem znów przyjadę, gdyż wiedziałem, że będą na mnie czekać.

Jednak, wszystko ułożyło się zupełnie inaczej. Już szykowałem się wyjeżdżać do Ekwadoru, gdy wtenczas na Białorusi zaczęto otwierać kościoły, i poprosili mnie o pomoc. To był rok 1989. Dostałem dekret, że jestem skierowany do parafii w Wornianiach i pełniłem posługę tam prawie 25 lat. A teraz już szósty rok jestem w Działłowie. Bardzo mi się tu podoba. Z ludźmi dobrze się pracuje, młodzież i dzieci są bardzo zaangażowani w życie parafii.

Choć przez te wszystkie lata przyszło się zmierzyć z wieloma problemami, jestem bardzo wdzięczny dla św. Jana Bosko, że przez jego wstawiennictwo otrzymuję łaskę pracy z dziećmi i młodzieżą. Wszystkie Msze św., kazania, spotkania osobiste z ludźmi są największym moim

bogactwem. Jestem szczęśliwy, że mogę przez Jezusa Chrystusa oddawać siebie innym, pracować dla nich. Wziąłem nawet takie postanowienie, że chcę ofiarować wszystko, co mnie spotkało za życia, w imię tego, żeby umrzeć na Białorusi i być tutaj pochowanym. Cieszę się, że nie jestem sam, że zawsze czuję obecność Chrystusa, że to, o co proszę Jego i Matkę Najświętszą otrzymuję.

W tym roku jubileuszowym w sposób szczególny modłę się o to, żeby rodzice dawali dobry przykład wiary swoim dzieciom, a także o nawrócenie grzeszników, ponieważ widzę, ile jest w świecie ludzi niewierzących. Zwłaszcza teraz, gdy wiele osób choruje na koronawirusa. Zauważam, że jest mnóstwo przeróżnych wypowiedzi, porad i w prasie, i w telewizji, lecz ludzie zapominają, że można zwrócić się z prośbą o ustanie tej epidemii do Pana Boga. Jestem pewny i ciągle to powtarzam swoim parafianom, że jeżeli zawierzymy wszystko Jezusowi Chrystusowi, to będziemy zdrowi. Nie trzeba się lękać, pamiętając słowa Zbawcy: „Nie bójcie się, ja jestem z wami!”. W związku z tym, my w Działowie wzięliśmy postanowienie, że każdego dnia podczas Mszy św. w kościele wszyscy leżymy krzyżem i śpiewamy suplikacje „Święty Boże, Święty Mocny”, żeby Pan Bóg oddalił od nas chorobę.

Jeżeli podsumować wszystkie lata mojej posługi, to jestem najbardziej wdzięczny Bogu za to, że jestem kapłanem. Również jestem wdzięczny wszystkim ludziom, dzieciom i młodzieży, tym wszystkim, z którymi w życiu się spotkałem, z którymi mogłem rozmawiać, których mogłem łączyć poprzez sakramenty z Panem Jezusem. Najbardziej mnie cieszy ta dobroć, szacunek i wyrozumiałość, której doznałem ze strony innych. To bardzo pomaga mi trwać w kapłaństwie.



oje powołanie do kapłaństwa narodziło się samo w sobie. Jako dziecko pojechałem do babci na wieś do Nowego Dworu, niedaleko Szczuczyna. Tam zostałem ministrantem i należałem do Liturgicznej Służby Ołtarza nie jeden rok. Przez cały ten czas, rozmawiając z miejscowym proboszczem, widziałem przykład dobrego, pracowitego, odpowiedzialnego pasterza i byłem pod wrażeniem tej postawy.

Stopniowo doszedłem do wniosku, że też chcę iść drogą kapłaństwa i rozpocząłem studia w seminarium. Był to czas, gdy ja i moi koledzy z roku rozpoznawaliśmy swoje powołanie, przechodziliśmy różne, czasami trudne etapy, poznawaliśmy siebie i swoje miejsce w posłudze Bogu. W końcu osiągnęliśmy długo oczekiwany punkt kulminacyjny – święcenia kapłańskie – i zaczęliśmy stosować zdobytą w seminarium wiedzę teoretyczną w praktyce.

Najważniejszą rzeczą w kapłaństwie i służbie duszpasterskiej – jest pomaganie ludziom w znalezieniu Boga, głoszenie im Ewangelii, ponieważ każdy kapłan jest powołany do służby dla chwały Bożej i dla zbawienia dusz. Oczywiście, ta droga nie jest łatwa, jest pełna przeszkód i

pokus. Lecz jeśli całkowicie ufasz Chrystusowi i służysz mu z godnością, wszystko się ułoży.

Uważam, że kapłan powinien być gotowy do wykonania różnych zadań, które stawia przed nim Kościół, a przede wszystkim do wybawienia człowieka z niewoli grzechu poprzez posługę miłosierdzia. Aby być pasterzem, który będzie szanowany i ceniony, trzeba szczerze kochać ludzi, podchodzić do każdego z życzliwością i otwartym sercem, być przykładem dla swoich parafian. Dlatego zawsze należy starać się doskonalić siebie i nie stać w miejscu, pogłębiać swoją wiedzę, wzrastać intelektualnie i duchowo, aby było co przekazać ludziom. Teraz, wracając myślami do lat seminaryjnych, rozumiem, że trzeba było uczyć się nie tylko tego, czego od nas wymagał program, lecz starać się wziąć jeszcze więcej, ponieważ z pełnym bagażem wiedzy przejść przez życie jest o wiele łatwiej. Wtedy wydawało się, że pewne rzeczy nigdy się nie przydadzą, a jednak musiałem je nadrobić.

Nie tylko w tym roku jubileuszowym, lecz zawsze pamiętam w modlitwie tych księży, którzy byli dla mnie przykładem – ks. Tadeusza Krisztopika, dzięki któremu zostałem ministrantem, proboszcza ks. Józefa Trubowicza, a także tych, którzy pomagali podczas studiów w seminarium – ks. Antoniego Somiło i ks. Józefa Bogdziewicza. Oczywiście, modłę się za rodziców i za krewnych, którzy odeszli po wieczną nagrodę do Pana Boga. Każdy z nich, nawet w najtrudniejszych momentach, był moim wsparciem, pomagał i słowem, i czynem.